# Strona 28

- Co? Licz się pan ze słowami, komu pan ubliżasz, zegarkowi po doktorze? Warszawskie medycynę znieważasz?

Słuchaj pan!

Tu pan Wacław przystawił panu Gałązce zegarek do ucha. Rozłegło się równomierne, dość głośne cykanie.

- No, cooo?

- Ano chodzi.

- Jak ratuszowy!

Transakcji dokończono szybko. Pan Wojciech schował zegarek do kieszeni, a pan Traczyk zniknął między straganami.

W pół godziny po tym nabywca czasomierza zapragnął zobaczyć, czy dużo ma jeszcze czasu do pociągu. Spojrzał i zaniepokoił się. Wskazówki stały na poprzednich miejscach. Przyłożył do ucha. Ani śladu cykania. Zegarek milczał jak pień.

Pan Gałązka dobył kozika, otworzył kopertę.

Z wnętrza pamiątki po doktorze ziało przeraźliwą pustką. Ani śladu jakiegokolwiek mechanizmu.

Wieśniak wpadł w rozpacz i zawziął się, że odszuka oszusta. Jakoż udało mu się spotkać go po dwu tygodniach.

Pan Wacław próbował nadrabiać bezczelnością.

- A cóż ty, żłobie owsem karmiony, za dwa złote chciałeś gieniewskie maszynę z patentowanem werkiem, może jeszcze rubinowe kamienie być mieli? – wołała do pana Gałązki.

Jednak pewna mina nic nie pomogła. Stanął przed sądem grodzkim, który skazał go na trzy miesiące więzienia.

Po ogłoszeniu motywów wyroku sędzia zapytał:

- A teraz, panie Traczyk, jak pan to zrobił, że zegarek bez werku chodził? Przecież pański kilent słyszał to wyraźnie.

- Słuchowa nawalanka, czyli złudzenie ludzkiego ucha, proszę wysokiego sądu. Zegarek przystawiam gościowi do czoła a cykam zębami, o tak...

Tu pan Traczyk puścił w regularny ruch swoje przednie zęby i zegarek zaczął chodzić jak najlepszy patentowany chronometr.

Złudzenie było zupełne.

# Strona 29

## Gość na weselu

- Trudno coś zarobić na konsula, na kopertę czy na wujaszka, rzadko kto daje się nabrać. Gdyby nie wesela, musiałby człowiek wziąć sią do uczciwej pracy! – powiada przedstawiciel nowego rodzaju wydrwigroszów, tak zwany weselnik, czyli kombinator okolicznościowy.

Taki pan zjawia się w smokingu na czyimś weselu, kręci się wszędzie, udaje kuzyn i nabiera na prawo i lewo, kogo się da.

Niekiedy wpada i zamiast spodziewanych zysków dostaje baty od rozgoryczonych gości, lub wędruje do komisariatu. Taki właśnie przykry wypadek zdarzył się obiecującemu młodzieńcowi, panu Edwardowi Zającowi, który jako weselnik zapowiadał się wprost rewelacyjnie. Wystarczy powiedzieć, że zjawiwszy się na weselu pana Wiktora Piekacza, potrafił w ciągu godziny nabrać coś dziesięć osób.

Na wstępie zaczepił pana młodego, złożył mu powiszowania i wygłosił następującą orację:

- Są chwile w życiu człowieka, kiedy tenże czuje się tak szczęśliwy, że zapomina o drobnych sumach, należnych ludziom za przyczynienie się do jego szczęścia.

- O czem pan mówi, za co się panu należy?

- Jestem pomocnikiem organisty, nie otrzymałem wynagrodzenia za kalikowanie podczas ślubu.

Pan młody speszył się bardzo i wręczył kalikantowi 15 złotych.

Zdolny młodzian z kolei przedstawił się ojcu oblubienicy jako dyrygent chóru, który w kościele śpiewał córce jego *Veni Creator*. W niezmiernie delikatnych słowach dał do zrozumienia, iż panu młodemu zabrakło piętnastu złotych do umówionej sumy. Dyrektor jednak jako artysta, a więc człowiek subtelny, nie chce sprawami finansowymi zakłócać radości świeżo połączonej pary, wiec...

- Ależ oczywiście, ma pan rację, drogi dyrektorze. Proszę, służę, oto piętnaście złotych – z wdzięcznością zawołał nowo kreowany teść i wręczył panu Zającowi żądaną sumę.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby się weselnik nie rozzuchwalił. Ale pan Zając począł się przerzucać z roli w rolę. Był